

Bezpłatny dodatek niedzielny dziennika „Głos Prawdy”

GŁOS PRAWDY

Organ Radykalizmu Polskiego
T Y G O D N I K

Od Polski Wyzwolonej do Polski Odrodzonej

Z ZIEMI OBCEJ DO POLSKIEJ...

Z ZIEMI OBCEJ DO POLSKIEJ...	450	„GŁOS PRAWDY” LITERACKI
NA SZLAKACH IMPERJALIZMU, KTÓRY ZGNĘBIŁ NACJONALIZM — <i>Fl. S.</i>	451	Dwieście lat dziennikarstwa polskiego — <i>H. Eile.</i> 455 Sonety — <i>Roman Brandstaetter</i> 456 Cień orła — <i>Józef Aleksander Gałuszka</i> 457 Na marginesie — <i>jk.</i> 459 Dzieje I pułku legjonów — <i>Juljusz Kaden-Ban-</i> <i>drowski</i> 460 Współpraca radja i biblioteki — <i>L. Ron</i> 462 Kronika czesko - słowacka "
TRAKTAT WERSAŁSKI, A MARSZAŁEK FOCH	452	Z życia kulturalnego Włoch 463 List do redakcji " Odpowiedzi „Głosu Prawdy” literackiego "
PROBLEM BEZROBOCIA W ANGLJI — <i>Spec-</i> <i>tator</i>	453	

Z ZIEMI OBCEJ DO POLSKIEJ...

Dziesięciolecie pracy Polski Odrodzonej zostało uświetnione otwarciem Powszechnej Wystawy Krajowej. Odślonięto bilans wielkich wysiłków społeczeństwa, rejestr zasług i zdobyczy, dokumentujących zdolności i możliwości rozwoju gospodarczego, kulturalnego i duchowego Polski. O to jest przed nami zwierciadło wierne trudów naszych i dorobku, wiary i natchnienia, siły twórczej i jej zmagania; po przejrzeniu się w niem siły się wzmagają, zamysły skrzydła dostają, energja potężnieje, duma powraca... Otośmy, zbywszy się grzechów wielu, pracowitej cnoty dowiedli, oto błędy nasze i wady nie popsowały jednej z najwyższych wartości — umiejętności i chęci pracy, która o przyszłości narodu decyduje. Wyszędłszy z Ogrójca tarę wewnętrznych poprzez Kalwarję wojen i męki opuszczenia wznosi nasz naród, zapalem młody, opokę życia, której wrogie Państwa siły nie przemogą.

Nadszedł przeto czas, by ci, którzy niegdyś, przed laty szukać musieli znośnych dla siebie i swych rodzin warunków życia na obczyźnie, zdala od Ojczyzny, w której szczęścia być nie mogło, — by ci, którzy trawieni przez lata tęsknotą do ziemi rodzinnej, wypatrywali z niepokojem chwili, gdy z dumą wypowiedzieć będą mogli słowa: Polakiem jestem! — by ci Polacy z dalekich łądów, z za rozległych mórz przybyli do Polski, oczyma własnymi oglądać dzieło jednego dziesiątka lat pracy Polski Wolnej, by zobaczyli zrealizowany obraz ich tęsknot snutych na dalekich ziemiach. Nadszedł czas, by naocznie przekonali się, iż nie są już dłużej samotni, oderwani, parjasami ziemi, lecz że i z nimi powiewa już sztandar własnej potęgi. Nadszedł czas, by legenda o Polsce, w ich zahartowanych wiara sercach w żywe ciało się przyoblekła, stając się i ich własnością, wiedzą, dumą.

Rzeczywistość polska, narastająca i potężniająca pod okiem i kierownictwem jednego z największych ludzi w współczesnym świecie, a największego w Ojczyźnie, Tego, który najsilniej i najrealniej do wolnej tęsknił Polski, który najgłębiej marząc, najrealniej pracował, okaże się oczom Zjazdu Polaków z zagranicy zapewne inną zupełnie, niż ta, w jakiej ongiś żyćby musieli. Wychodźstwo polskie w olbrzymiej swej większości kierowało się szlakami zamorskimi, kontakt więc z krajem musiał być ciągle bardzo luźny. Zgoła inne warunki życia i pracy, szersza cywilizacja krajów, w których wychodźstwo znalazło ujście, zgoła odmienne warunki polityczne od tych, w których żyli Polacy w Ojczyźnie — wszystko to, sprawić musiało, że kultura obca stała się już u wychodźców składo-

wym i bardzo ważkim czynnikiem w ocenie zjawisk ojczyźstych. Kto miał sposobność zetknąć się z większemi skupiskami wychodźstwa za oceanami, ten wie, jak bardzo rozbieżne są opinie o życiu w Polsce i jak bardzo jeszcze rozmaite wymagania. Nie zmienia tego stanu rzeczy fakt, iż na dnie wszelkich wymagań i opinij tkwi głęboko sentyment, który pragnie, by Polska, wypieszczona w marzeniach znękanego życiem obcem wychodźcy, była państwem najszlachetniejszym, najdoskonalszym, najszybciej i najszczęśliwiej w rodzinie narodów kroczącym, przykładem swym narody obce prowadzącym.

To też dobrze, że Zjazd Polaków z zagranicy odbywa się w czasie, w którym Polska rzeczywiście okazać im może pełny bilans swej pracy, swych ciężkich walk i zmaganiań, swe wysokie wartości w osobach współczesnych twórców niepodległości, urzeczywistnienia wielkich idei demokratycznych i państwowych. Uczestnicy Zjazdu będą mieli sposobność zapoznania się z najżywoźniejszymi zagadnieniami współczesności, wśród których współpraca z wychodźstwem, troska o jego treść życia nie jest najmniejszą. Spodziewać się należy, że Zjazd rzuci silne fundamenty pod tę współpracę. Sprawiedliwą jest bowiem rzeczą, by usiłowania w doprowadzeniu i zmontowaniu takiej współpracy nie były jednostronne. Naprzeciw poczynaniom, zainicjowanym w kraju wyjść powinny podobne dążenia i realne czyny ze strony wychodźczych ośrodków.

W akordzie prac Zjazdu zbraknie głosów Polaków z Rosji sowieckiej i Litwy. I jednym i drugim na udział w Zjeździe, będącym w pierwszym rzędzie manifestacją polskości, duchowej łączności z Ojczyzną, wyznaniem wiary w Polskę dzisiejszą i w jej jutrzejszą potęgę, nie pozwoliły warunki polityczne, panujące w krajach, z którymi los ich obecnie życie związał. Żal z tego powodu nagrodzony zostaje świadomością, że i tam, gdzie polskość stanowi osobny świat kultury zachodniej i gdzie o ów świat kultury toczy się walka, żyją nie mniej silne i wierzące serca, nie mniej gorący biorące udział w roli, jaką Polska dla sprawy powszechnego postępu spełnia. Witając zaś jaknajgorętszemi uczuciami wszystkich uczestników Zjazdu, pragniemy wyrazić życzenie, by z Polski wywieźli pamięć o wielkich czynach i wielkiej pracy, o niezrównanych ofiarach, jakie dla dzieła samodzielności poniesione zostały, świadomość o tem, że w Polsce energja, wynalazczość, mają warunki życia, a znaczenie człowieka mierzy się wysiłkiem w poszukiwaniu najwyższych wartości.

NA SZLAKACH IMPERJALIZMU, KTÓRY ZGNEBIŁ NACJONALIZM

Przed tygodniem książę Walji przemawiał na bankiecie, wydanym przez fundusz stypendjalny imienia Cecila Rhodesa w Oxfordzie. Następca tronu angielskiego wyraził zadowolenie z powodu projektu wznowienia wymiany stypendystów między Anglią i Niemcami, która została przerwana od czasu wybuchu wojny. Książę oświadczył następnie: „Mamy już wśród nas kilku stypendystów niemieckich fundacji Rhodesa. Powrót ich witamy serdecznie. W tym gmachu i liceach wmurowane będą tablice tych niemieckich stypendystów fundacji, którzy padli podczas wojny. Wyrycie ich nazwisk oznaczać powinno, że cele Rhodesa nie opierały się na wąskich uczuciach różnic narodowych, bowiem ideałem instytucji tej jest odnowienie starej przyjaźni, a przede wszystkim zapomnienie różnic, które dzieliły nas w przeszłości. Ten przykład powinien wszędzie znaleźć godne naśladownictwo.

Gdyby Cecil Rhodes dożył tej chwili, byłby niewątpliwie zachwycony powyższym oświadczeniem księcia Walji, którego streszczenie podajemy w bardzo niezadarnym przekładzie agencji telegraficznej. Cecil John Rhodes, brutalny, lecz genialny conquistador, a jednocześnie wielki dobroczyńca Afryki Południowej, jeden z niewielu ludzi, którym dane było zanurzać ręce w kadziach, napełnionych djamentami z własnych kopalń, lecz którym również sążone było użyć tych bajecznych bogactw na cele szlachetne.

Piszący te słowa zabłąkał się w swych wędrówkach do małej miejsciny nad rzeką Vaal, w Griqualand, gdzie Rhodes rozpoczął karierę, jako jeden z tylu poszukiwaczy sezamów afrykańskich. Dookoła pustynia. Przykucnięte, zakurzone drzewka dzikiej mimozy stanowią tam jedyną roślinność. Nic nie zdradza bogactw, które kryje jeszcze ta ziemia w swoim łonie. Morze kamieni i żwiru. Tu i owdzie rozkopane doły głębokości kilku metrów. Któżby się spodziewał, że stamtąd wydobyto więcej skarbów djamentowych, niż później z niejednej potężnej kopalni w Kimberley. I teraz leniwie krzątają się tam, pod baczem okiem białych nadzorców, grupki hotentotów, podobne do robactwa ziemnego. Ale zostały tylko ubogie resztki, okrucy po uczcie. Cecil Rhodes nie lubił przekazywać takiej roboty innym.

Nie dlatego byłby Cecil Rhodes zachwycony oświadczeniem księcia Walji w Oxfordzie, iż zawiera ono słowa przyjaźni pod adresem Niemców — sentymentem germanofilskim nigdy się nie odznaczał — lecz dlatego, iż uderza w nacjonalizm, oparty na nienawiści, a ten produkt demokracji nowożytnych najczęściej nienawidził on, imperjalista w wielkim stylu.

Dziwna jest ta logika rzeczy, która sprawia, iż wielkie czyny filantropów wyrastają często z gwałtu i krzywdy ludzkiej. Cecil Rhodes szedł przez ruiny i trupy, a dziś niema prawie miasta w południowej Afryce, gdzie nie wystawiono mu pomnika wdzięczności. Pamięć jego czczya nawet boerzy, których pozbawił

niepodległości, wywołując wojnę. Bo nigdy nie kierował nim egoizm narodowy lub klasowy, lecz wielka idea państwowa, która zapewniła obu poważnym narodom dobrobyt w wolności i nieskrępowanym rozwoju ich odrębnych kultur.

Ten chory człowiek, którego trawiły dwie gorączki: suchot i pracy, i któremu w młodości lekarz poradził, by zakosztował balsamicznego powietrza stepów południowo - afrykańskich, nie tylko wyzdrowiał, lecz stał się w krótkim czasie potentatem finansowym świata, stworzył podwaliny dla unji południowo-afrykańskiej i założył własne państwo, piękną Rodezję, jedno z najbardziej kwitnących dominów angielskich. I tego wszystkiego zdążył dokonać w zawrotnie szybkim tempie absolutną świadomością celu, żelazną wolą i niezwykłą siłą sugestywną swej wybitnej indywidualności. Karjera jego jest jednym wielkim trjumfem genialnej jednostki.

Będąc w Afryce, zastanawiałem się, jakiej mocy magicznej przypisać fakt, iż po krwawych walkach anglo - boerskich w latach 1898 — 1902 dwa te narody spokojnie zamieszkują razem jedno terytorjum. Boerzy nie zapomnieli o swojej krzywdzie. Gdy mówią o owej wojnie, dobrodusze ich twarze zaostają się w wyrazie stłumionego bólu. Ale to, co wskutek mądrej polityki zwycięzców, wolnej od wszelkich wpływów zachłannego nacjonalizmu, łączy ich teraz z anglikami, silniejsze jest od tego, co ich rozdziela. I tak samo, jak pomniki na cześć bohaterów boerskich i angielskich stoją obok siebie na ulicach miast, dwa te narody zagospodarowały się, każdy na swój sposób, na jednej ziemi, we wspólnej pracy, bijącej żywym, mocnym tętnem. Życie przeszło nad wspomnieniami walk i coraz grubszą warstwą pokrywa niezagojone rany. W rozpolitykowanej do oblędu Europie wydawałoby się to paradoksem, pod jasnym słońcem południowo - afrykańskim ten paradoks stał się prawem rozwojowym. Tak zwani „nacjonaliści” boerzy, nie mający zresztą żadnego podobieństwa do swych imienników europejskich, tworzą pod wodzą generała Herzoga wspólny rząd z socjalistami angielskimi. Opozycją ich jest również blok anglo - boerski, kierowany przez boera, generała Smutsa.

Olbrzymią swą fortunę zapisał Cecil Rhodes na cele publiczne dla obu narodów, wzbogacił nią cały kraj i odkupił tem niejako swoje grzechy, do których przyznają mu tytuł prawny z perspektywy czasu.

Jakżeż inne, stokroć wolniejsze jest życie w ogniskach kultury anglosaskiej na dalekich szlakach świata, niż w obarczonej tradycjami i przesadami Europie. Szczególnie wdzięczne efekty daje pod tym względem amalgamat dwóch kultur: angielskiej i holenderskiej w południowej Afryce. Bogactwo barw i swoboda w raz do dochodzą tam do swojej pełni. Oczywiście, nie dotyczy to murzynów. Ten ponury rozdział stanowi odrębną całość, samą w sobie.

Nie mogę zapomnieć pewnej osobliwości, bardzo

humanitarnej, a kłócącej się z owym „ponurym rozdziałem”, jaką widziałem w jednym z miast południowo - afrykańskich: Porcie Elżbiety

Po wojnie anglo - boerskiej postawiono tam pomnik na cześć „nieznanego konia”. Setki tysięcy tych biednych stworzeń zginęły z pragnienia w bezwodnych puszczech afrykańskich podczas owej wojny. Pomnik

przedstawia typowego Tommy — żołnierza angielskiego — w kłęczącej pozycji przed koniem, którego poi. Na pomniku piękny napis:

„Wielkość narodu nie polega na liczbie jego obywateli, ani na rozmiarze jego terytorjum, lecz na wielkości jego współczucia”.

Fl. S.

TRAKTAT WERSALSKI, A MARSZAŁEK FOCH

Dziesięcioletnia rocznica traktatu wersalskiego minęła. We Francji odbyły się oficjalne obchody, w Niemczech próbowano manifestować przeciw traktatowi, u nas prasa poświęciła szereg artykułów wspomnieniom i rozważaniom na ten temat. Jedna z partij politycznych, dowodząca od lat wielu, że niepodległość Polski zawdzięczamy jedynie antyszambrowaniu owej partji i okazji d'humeur facile koalicjantów urządziła w Poznaniu akademję na cześć własnych zasług nie wywołującą jednak nawet we własnym gronie entuzjazmu.

Jesteśmy już bardzo daleko od tamtych czasów. Ogół rozumie dobrze, że traktat wersalski w swych postanowieniach, dotyczących państwa polskiego, oparł się na konieczności historycznej i na rzeczywistości, stworzonej przez najżywotniejsze siły narodu. Bez tych zasadniczych warunków, bylibyśmy zapewne pod nowym zaborem bolszewicko - niemieckim bez uszczerbku dla innych ościennych państw.

Okres stabilizacji powojennego życia Europy nie jest jeszcze ukończony. Świadczą o tem, liczne decyzje międzynarodowe, normujące szereg ważnych ze współżycia narodów spraw, które tkwią korzeniami w traktacie wersalskim. Stąd trudnoby byłoby określić dziś całokształt konsekwencji, płynących z tego historycznego traktatu.

Możemy natomiast powiedzieć już wiele o tym, który stworzył warunki umożliwiające podyktowanie traktatu wersalskiego, o marszałku Ferdynandzie Fochu. Jego niezłomna wola i czyn zwycięski dały Francji tryumf nad wrogiem. Dzięki marszałkowi Fochowi przedstawiciele Francji zasiedli do stołu rokowań z wszystkimi atutami w ręku, a więc z gwarancją zwycięstwa dyplomatycznego, poprzedzonego zwycięstwem wojskowym.

W dniu zawieszenia broni marszałek Foch powiedział słowa godne Cyncynata: „Rządy sprzymierzone powierzyły mi swoje armje, z którymi odniosłem zwycięstwo. Osiągnąłem cel. To nie było łatwym, ale to uczyniłem. Moja rola jest skończona wracam do szeregów.

Ala od dnia tego rozpoczyna zwycięski wódz przeżywać potężną tragedję wewnętrzną. Niedługo już zmuszony jest powiedzieć z goryczą: „il listopada dałem im do ręki narzędzie, z którym uczynić mogli wszystko, co tylko pragnęli. Nie umieli się niem posługiwać. Popsuli to, co im dałem. Zmarnowali okazję... Ich traktat? Nie chciałem go podpisać”.

Tak się wkrótce ułożyła sytuacja Francji z powodu gry polityki partyjnej, która już na drugi dzień po zawarciu pokoju nie zaniedbała kokietowania przyszyłych wyborców parlamentarnych.

W tym czasie marszałek Foch nie jest już wodzem wielkiej armji międzynarodowej przeciw wspólnemu wrogowi, nie jest nawet najbardziej wpływowym Francuzem we Francji. Ciężko dokuczyły zwycięskiemu wodzowi laury Cyncynata. Bez władzy w ręku z niesłychanie ograniczoną możliwością działania patrzeć musiał bezsilny, jak niszczeje największy zadatek na przyszłość narodu, jak niszczeje największy czyn jego własnego życia.

Usiłuje przekonywać polityków, że robią straszliwe błędy, które w najbliższej przyszłości zmarnują korzyść wygranej wojny i kapitału przelanej krwi: „Powiedziałem rządowi, że sprzymierzeńcy nie podtrzymają naszego punktu widzenia, to zrozumiacie... Ale wy, wy go opuszczacie! Nie, nie chciano mnie wysłuchać”.

Marszałek rozumiał swój obowiązek człowieka, któremu daną jest możność widzenia i przewidywania. Próbuje wielokrotnie bronić dobra państwa przeciw politykom lecz bezskutecznie: „Chciałem być wysłuchany przez radę ministrów. Przedsięwziąłem wszelkie kroki ku temu. Przyniosłem im papier. Oni mi podziękowali, ale nie wzięli tego pod uwagę. Wyszliśmy z Jules Cambon i Andrée Tardieu. Oto co powiedziałem: My wszyscy pójdziemy pod sąd, ponieważ naród nigdy nie zrozumie, że z naszego zwycięstwa zrobiono porażkę”. Było to już rezygnacja.

Marszałek Foch nie był świętoszkowatym skromnisiem, jak go pewne sfery chcą widzieć. Charles Bugnet w swej książce pod tytułem „En ecoutant le maréchal Foch” stwierdza: „Gdy marszałek odczuwa trudności w wypowiedaniu się, lub kiedy jest rozgniewany, pozwala sobie na słowa nieco mocne, które działają jak zawór”.

Marszałek jak każdy człowiek nie znosi cześciej gadaniny. Dlatego nie lubi reklam w postaci przedmów do książek i odezwo partyjnych, pisanych na efekt dla publiczności i wyborców do parlamentu. „Przedmowy — to mnie zanudza — powtarza za każdym razem, gdy od niego żądają przedmowy. Wyżej wspomniany major Bugnet opowiada: „Aby nie narazić się na odmowę pewien poseł był na tyle zręczny, że podsuwał już zupełnie gotową przedmowę, którą trzeba było tylko podpisać, gdyby marszałek ją aprobował — ona jest do przyjęcia, powiedział, ale będzie wiadomo, że to nie pióro Focha — jest zbyt długa”. Niejeden czytelnik podpowie sobie, że być może to zastrzeżenie nie miałooby racji istnienia, gdyby chodziło o przedmowy na import zagranicę.

Jak wspominaliśmy międzynarodowy generalissimus nie lubił wszelkiej retoryki politycznej, obliczonej na demagogiczny efekt: „Idea, idea ja kpię sobie

z idei. To nie jest to najważniejsze. Trzeba działać, trzeba realizować. Tylko to ma jakieś znaczenie. Wszyscy ludzie mają idee, wszyscy ludzie mają idee zwycięstwa. A potem? Gdy tego nie realizują? O ludziach sędzi się według poczynań, a nie według intencji. Wszyscy ludzie mają dobre intencje, ale trzeba je realizować. Ja nie mówię, że idea jest zbędna. To nie to. Trzeba mieć linię postępowania, zupełnie zdecydowaną i trzymać się jej, ale na to trzeba mieć środki i ideę, aby znaleźć środki. Idee nawet najlepsze mają tylko wówczas wartość, gdy się je realizuje".

Gdy marszałkowi Fochowi proponowano mandat senatora, odrzucił tę propozycję, mówiąc: „mam co innego do roboty, niż mówić po trzystu innych”. Nie cierpiał parlamentaryzmu i nie taił swoich pod tym względem przekonań: „...nieszczęściem jest, że oni wszyscy są zarażeni jadem parlamentaryzmu. Oni nic nie widzą jaśniej. Często są dosyć inteligentni, kilku nawet bardzo. Niektórzy są patriotami uczciwymi. Ale tylko mówią. Mówią wspaniale, co trzeba robić, ale sami tego nie robią”.

Ta niechęć do parlamentaryzmu idzie równoległe do niechęci, jaką żywi marszałek Foch względem ludzi, którzy w swoich rozumowaniach nie chcą wziąć pod uwagę stałego postępu i rozwoju, niweczącego stare formy: „Dziwię się, jak ludzie, którzy widzieli upadek starych państw Rosji i Austrii, zmartwychwstanie Polski i Czechosłowacji, potem wszystkim, te wyjątki mogą jeszcze myśleć na sposób życia poprzedniego”.

Wielki wódz orjentował się doskonale również w sprawach dotyczących Polski. W 1928 r. kiedy widział naszych krajowych endeków, w roli przedstawicieli przyszłego państwa polskiego, nie mógł wierzyć w trwałość jego istnienia, w naszą przyszłość.

Dokładnie zapewne, jak naczelnemu wodzowi było mu znane wszystko, co się w kołach polskich mówiło, włącznie z zasięgiem rad przez koryfeuszów endecji u ambasadora Rosji — Izwołskiego. Trzeba dopiero było kilku lat pracy i przyjazdu marszałka Focha do Polski, aby inaczej ocenił możliwości: „Polska? W 1918 oświadczyłem, że to jest chimera. Ja nie wierzyłem, aby mogła się utrzymać. Teraz zupełnie zmieniłem zdanie. To jest naród posiadający żywotność i siłę. Oni zdołali wypędzić Niemców od siebie, z Poznaniańskiego, w zupełności, a poza to mają dzieci, mnóstwo dzieci. Niebawem będą tak liczni, jak my. Niech trzymają się jeszcze 15 do 20 lat, a nowe pokolenie będzie potężne”.

Badając koleje losów marszałka Focha nie można powstrzymać się od uwagi, że wielkości towarzyszy zawsze zawiść. Stąd tendencja, aby z wielkich ludzi czynić za życia pomniki historyczne, a wielbiąc ich przeszłość, usuwać ich poza nawias teraźniejszości i przyszłości, bowiem istnieje obawa, że zechcą nad jedną i drugą zapanować sami.

Marszałek Foch w roli „pomnika historycznego” starał się godnie wypełnić swe nowe zadania. Radował się tętno pracy francuskiej w Marokku, nie zaniebyszał żadnej okazji do odwiedzania Alzacji, gdzie okrzyk: „Niech żyje marszałek Foch” oznaczał dokładnie to samo, co „Niech żyje Francja”.

Do ostatnich dni zagrzewał obywateli do wyteźonej pracy dla dobra państw: „Musimy być zjednoczeni, jak czasu wojny” — mówił na użytek polityki zewnętrznej i wewnętrznej.

— — — — —
Ileż w tem analogij i ile nauki.

PROBLEM BEZROBOCIA W ANGLJI

Ramsay Mac Donald, a program Lloyd George'a.

W pomyślnych latach przed wojną liczba bezrobotnych w Anglii spadała do około 200.000; w latach przeciętnych wynosiła około ćwierci miliona. Cyfry te nie mogą uchodzić za zupełnie ścisłe w braku w owym czasie urzędzeń społecznych (kasy chorych, zabezpieczenie na starość i od bezrobocia i t. p.), umożliwiających statystyczne uchwycenie bezrobocia, lecz starczą za podstawę do porównania obecnego stanu z przeszłością. Dzisiaj Anglja stale liczy się z armją pięciu ćwierci miliona bezrobotnych conajmniej, a w dniu 21 stycznia b. r. było ich 1.421.756 — prawie półtora miliona, dokładnie rejestrowanych i pobierających należne im tygodniowe wypłaty z funduszu bezrobocia. W normalnych latach wpływy tego funduszu wynoszą 200 milionów funtów (zł. 8.650.000.000), z czego na wpłaty pracodawców przypada 75 milionów, na wpłaty robotników zatrudnionych 65 milionów, a państwo z ogólnego budżetu dopłaca 60 milionów funtów. Każdy bezrobotny pobiera przeciętnie 20 szylingów, czyli jednego funta tygodniowo (jeden funt równa się 43,25 zł.). Z podanej powyżej liczby bezrobotnych w dniu 21 stycznia b. r. na główne przemysły przypadało

(cyfry zaokrąglone): przemysł węglowy 213.000, przemysły metalurgiczne 261.000, włókiennictwo 193.000, przemysły budowlane 159.000, wielki przemysł przewozowy (żegluga, koleje) 120.000, drobny przemysł przewozowy (dostawa towaru od sprzedawcy do spóżywcy) 106.000. Razem w tych sześciu głównych grupach 1.053.000 bezrobotnych, a w czterech pierwszych przeszło 826.000. Ponieważ obecna stała nadwyżka bezrobotnych ponad normę przedwojenną wynosi okrągłe trzy ćwierci miliona ludzi, jest rzeczą jasną, że skutecznie w tych czterech przemysłach zastosowane sposoby walki z bezrobociem, umożliwiłyby Anglii powrót do normalnego przedwojennego stanu na rynku pracy. W okręgu włókienniczym niektóre miejscowości mają wśród robotników 39,6% bezrobotnych, niektóre okręgi węglowe w południowej Walji aż 44,4%.

Takie są w najgrubszych liczbowych zarysach rozmiary problemu, którego rozwiązanie, albo nawet tylko wydatniejsze załagodzenie będzie ogólną próbą dla celowości eksperymentu, na jaki przy ostatnich wyborach poszła milionowa rzesza obywateli angielskich.

Ci, co wedle słów Macaulay'a, zwykli stać obojętnie pomiędzy stronnictwami, ale skoro raz przechyła się na którąś stronę, nabierają wagi nie do odparcia. Konserwatywny rząd p. Baldwin'a z tym problemem nie umiał się uporać; niektórzy poważni a wcale nie do socjalistów należący publicyści, jak n. p. p. Wickham Steed, rządowi temu wręcz zarzucają, że zagadnienie zabagnił, nawet zaniedbał, mimo nadarżającej się sposobności chwycenia byka za rogi, w czasie strajku węglowego 1926 r. przez zracjonalizowanie przemysłu węglowego na podstawach, zalecanych w sprawozdaniu ankiety Sankey'a. A skoro ta rzesza wyborcza do obietnic p. Lloyd'a George'a nie miała dostatecznego zaufania, p. Mac Donald najwyraźniej tylko nadziejom, że może on potrafi problem rozwiązać, zawdzięczał swój powrót do władzy. Od stopnia, w jakim zdoła nadzieje te urzeczywistnić, utrzymanie się labourzystów u władzy zależy o wiele więcej, aniżeli od jakichkolwiek innych względów polityki wewnętrznej, czy zagranicznej.

Minister pracy w pierwszym gabinecie Mac Donald'a, p. Thomas Shaw, w 1924 r. naciskany w izbie gmin pytaniami w tej sprawie, odpowiedział, że nie jest kuglarzem, by coraz to nowy projekt wyciągał, jak kuglarz króliki z kapelusza. Oprócz zarządzeń zupełnie dorywczych pierwszy gabinet labourzystów nic też nie poradził. Tym razem p. Mac Donald nie oddaje się żadnym złudzeniom i wie dokładnie, że conajmniej na dwie, trzy kadencje parlamentarne przyszłość jego stronnictwa od tego zależy, co i jak tu poradzi. Dlatego też sprawę bezrobocia oddał w ręce najrzeczniejszego i najbardziej doświadczonego „dyplomaty“ w swoim obozie, p. J. H. Thomas'a, który jako lord strażnik prywatnej pieczęci królewskiej (lord privy seal) spełnia tylko jakieś tam tradycyjne średniowieczne obowiązki urzędowe, a zresztą będzie miał wbród wolnego czasu, by w rokowaniach przemysłowców z robotnikami nadal okazywać pomysłowość, zręczność i wyrozumiałość, które byłego maszynistę kolejowego i przewodniczącego zawodowego związku kolejarzy wyniosły na stanowisko ministra.

W długiej swej praktyce pośrednika między pracą a kapitałem p. J. H. Thomas dokazał już wiele sztuk. Tak n. p. jego było zasługą, że wbrew jego radom podjęty z początkiem maja strajk generalny, który zламаł się o natychmiast zorganizowaną samopomoc „burżuazji“, arystokracji i inteligencji, mógł być zlikwidowanym bez dotkliwszej szkody dla robotników, a tak mało pozostał w społeczeństwie do strajkujących dalej górników węglowych urazy, że przez całe przeszłe sześć miesięcy strajku z wszystkich sfer napływały fundusze dla ulżenia doli rodzin robotniczych. Lecz czy dyplomacja robotniczego strażnika pieczęci wystarczy, by usunąć trudność, jedną z najpoważniejszych, jaka przeciwstawi się każdemu szerszej pomyślanemu planowi walki z bezrobociem? Żaden taki plan nie obejdzie się bez przesuwania nadmiaru robotników, czyli bezroboczych, z jednego przemysłu do innego, w którym samorzutne, albo przez akcję umyślną wywołane polepszenie warunków popytu i podaży umożliwi zatrudnienie większej liczby rąk. Tak n. p. nie pomoże żadna, nawet najhojniej środkami państwowymi poparta akcja budowlana, skoro związki zawodowe zadekretowałyby, że tylko ludzie do związków zawodo-

wych przemysłów budowlanych należący, mogą przy tych budowach znaleźć zajęcie. Henry Ford w swej fabryce w Manchesterze płaci robociznę na miarę amerykańską — 6 funtów tygodniowo. Ale też Ford nie przyjmuje do pracy członków Trade Union'u, twierdząc, że musi mieć możność zatrudniania robotników tam, gdzie mu ich praca potrzebna, a nie tylko tam, gdzie im ich związek zawodowy pracować pozwala. Skoro niema dość pracy dla murarzy, ale jest np. praca przy budowie szos, kolei, kanałów, albo przy elektryfikacji i zalesieniu, praca dobrze płatna i bez społecznego wyzysku, dlaczego — pyta Ford — niema być wolno murarzowi stawać do tej pracy? To też Ford bez trudu znajduje dostateczną ilość rąk wśród robotników niezwiązkowych. A rozsądni przywódcy robotniczy w Anglii, tacy, którym Trade Unions i wszystko, co dla pracy umiały wywalczyć, jest nienaruszalnym nabytkiem, już dawno szukają wyjścia ze ślepego zaułka, w jaki zaszła organizacja robotnicza. Najchętniej chcieliby do zasad tradeunionizmu wprowadzić więcej elastyczności. Skoro, powiedzmy, murarz z powodu zastoju budownictwa przez kilka miesięcy nie mógł znaleźć pracy i pobierał zasiłek z funduszu bezrobocia, dlaczego jego związek zawodowy ma mu nie pozwalać na pracę w innym przemyśle, potrzebującym rąk? Rzecz znamienna, że myśl kompromisu po tej linii, zupełnie wyglądająca na to, że mogła się zrodzić w głowie p. J. H. Thomas'a, najpierw wysunięta była w piśmie... amerykańskim. Widocznie siła tradycji w Trade Unions jest tak wielka, iż do tej myśli kompromisowej przywódcy robotników angielskich przystępują z największą ostrożnością i swoje próbne baloniki puszczają jeszcze dopiero w kraju, gdzie zasady „fordyzmu“ wprawdzie nie zapewniły pracy wszystkim robotnikom, jednak przecie wytworzyły ogólne położenie gospodarcze bez porównania lepsze, aniżeli obecne w Anglii.

Kapitał w Anglii naogół skłania do przyswojenia sobie zasad amerykańskiej kalkulacji przemysłowej, o których obszerniej mówiliśmy na tem miejscu zeszłej niedzieli. Dla poszerzenia rynku wewnętrznego przemysł angielski skłonny jest opłacać robotnika przyzwoicie za ośmiogodzinny dzień roboczy, pod warunkiem, że konieczna modernizacja i racjonalizacja metod fabrycznych nie napotka u robotników samych na trudności, uniemożliwiające sam cel takich reform i wkładów — cel, którym jest pomnożenie produkcji i potaniecie produktu. Jeden tylko podstawowy przemysł w Anglii, właśnie kopalnictwo węglowe, opiera się wszelkiemu nowatorstwu. Opór pochodzi od właścicieli gruntów, pod którymi leżą pokłady węglowe. Towarzystwa, prowadzące kopalnie, są tylko dzierżawcami i płacą właścicielom gruntów daninę od każdej wydobytej tonny, tak zwaną royalty. Otóż labourzyści, a także wspomniana ankieta węglowa domaga się wywłaszczenia wszystkich praw do royalties, naturalnie za odszkodowaniem, fuzjonowania kopalń, zamknięcia niepopłatnych, dalszego prowadzenia popłatnych w innych, aniżeli dotychczas formach. I p. Baldwin'owi właśnie zarzucają, że mając tak olbrzymią większość w parlamencie i zapewnione poparcie reformy przez liberałów i labourzystów, ułękł się właścicielei gruntów kopalnianych i skrajnego prawego skrzydła własnego stronnictwa, tak zwanych die-hards, i zamiast

rozpocząć rokowania energiczne o dalsze podstawy reform, dopuścił do zwycięstwa lordów węglowych w strajku. Zwycięstwo to zemściło się na wszystkich przemysłach angielskich, a węglowemu przemysłowi nie pomogło.

Zanim atoli pp. Mac Donald i J. H. Thomas podjąć mogą walkę z lordami węglowymi, bez której już żaden rząd w Anglii napewno się nie obejdzie; zanim zwycięży myśl, iż kopalnie węglowe należą do przedsiębiorstw użyteczności publicznej, z którymi ani kapitałowi, ani robotnikom igrac nie wolno na szkodę publiczną; zanim Trade Unions dadzą się przekonać, że „amerykanizacja“ przemysłów nie jest możliwa bez ustępstw z tradycjonalizmu angielskiego, który rzecz przed stu laty zupełnie nową — właśnie związki zawodowe już zdążył wtrącić w skostniałość średnio-wieczną; zanim to wszystko się stanie, rząd p. Mac Donald'a bezwarunkowo musi próbować innych środków zaradczych przeciw bezrobociu. Jakich się chwyci?

„Wielce czcigodny IMPan zaskoczył Whigów w kąpieli i sam zabrał się z ich odzieniem“. — Temi słowy do premjera, sira Roberta Peel'a, odezwał się w 1845 r. młody i stanowiska dobijający się Disraeli, kiedy szef rządu zapowiedział, że nawrócił się do programu Whigów i cła zbożowe zniesie. Jako przywódca grupy protekcyjnistów Disraeli nie przestawał rządowi

własnego stronnictwa Torysów robić trudności; lecz znalazłszy się w 1852 r. w gabinecie, kategorycznie... odmówił powrotu do tych cel. Natomiast zostawszy w 1867 r. po raz pierwszy premierem, sam „zabrał się z odzieniem Whigów“ — to znaczy przeprowadził reformę wyborczą, która była programem jego przeciwników politycznych. Jeśli taka jest tradycja konserwatystów angielskich w taktyce parlamentarnej, można się prawie założyć, że o p. Mac Donaldzie niebawem powiedzą, iż „zaskoczywszy Lloyd George'a w kąpieli, zabrał się z jego odzieniem“. W swoim programie wyborczym p. Lloyd George zapowiadał, że zapomocą olbrzymich pożyczek po 300 i 400 milionów funtów w przeciągu roku przy robotach publicznych da zatrudnienie wszystkim bezrobotnym. Pozostaje tylko pytanie, którą część tego programu p. Mac Donald najpierw obierze do urzeczywistnienia. Eksperyment wolnego państwa irlandzkiego, gdzie wydatek 5 milionów funtów na budowę nowych szos i budowę wielkich elektrowni wydały już wspaniałe gospodarcze wyniki, wygląda na zachętę do podobnych prób i w Anglii. Ale Irlandja, to nie Anglja. W kraju zaniedbanym i zacofanym, słabo zaludnionym te sposoby zawieść nie mogły. Czy będą skuteczne w Anglii? Odpowiedź na to pytanie dać może tylko doświadczenie.

Spectator.

„GŁOS PRAWDY” LITERACKI

POD REDAKCJĄ J. KADEN-BANDROWSKIEGO

DWIEŚCIE LAT DZIENNIKARSTWA POLSKIEGO

Najdawniejsze ślady publicystyki polskiej sięgają 1557 roku. Od tej bowiem daty ukazywały się przygodne „Nowiny“, „Relacye“, „Awizy“ oraz „Gazety“. Luźno wydawane, zawierały zazwyczaj opis tylko jednego zdarzenia, najczęściej bitwy. O jednej z takich publikacji („Nowiny z Inflant“ — Kraków, 1605 r.) wspomina Bandtkie: „Ze to pismo do gazet nie ciągle wychodzących należy, przypominać mi tu nie trzeba“*).

W 1661 r. zaczęła w Krakowie wychodzić gazeta p. t. „Merkuryusz Polski ordynaryiny dzieie wszystkiego świata w sobie zamykaiący dla informacyi pospolitey... cum privilegio S. R. M...“ z dodatkiem „Merkuryusz Polski extra — ordynaryiny“. Po paru miesiącach przeniesiona do Warszawy, wychodziła łącznie jeden rok, wzgl. nie wiele dłużej.

Z okresu 1661 do 1697 r. nie zachowała się jakakolwiek gazeta. Należałoby przeto sądzić, że żadnej

podówczas nie było. W 1697 r. Włoch, niejaki Priami, rozpoczął w Krakowie wydawać po łacinie gazetę p. t. „Mercurius Polonicus...“ Wychodziła również jeden rok, wzgl. nie wiele więcej.

Dopiero w 1729 r., a więc dwieście lat temu, ukazała się w Warszawie pierwsza gazeta, która wychodziła stale, regularnie i przez dłuższy okres czasu. Z tego też względu rok 1729 stanowi właściwą datę powstania, wzgl. ustalenia się dziennikarstwa polskiego. We wspomnianym roku Naumański rozpoczął wydawać „Nowiny Polskie“, które od grudnia tego roku zmieniły tytuł na „Kurier Polski“. Równocześnie ze zmianą tytułu, rozpoczęto dodawać do Kurjera dodatek p. t. „Przywileiowane wiadomości z cudzych krajów“. Omawiana gazeta istniała do 1799 r., a więc 70 lat.

Mniej więcej równocześnie z najdawniejszą drukowaną gazetą, gdyż w drugiej połowie XVII wieku, ukazują się w Polsce gazety pisane. Pisanie gazet nie ogranicza się tylko do czasów, kiedy gazety drukowane bądź wogóle nie wychodziły, bądź tylko przez krótki czas. Przeciwnie, gazety pisane utrwaliły się w XVII wieku, kiedy istniały już stale i regularnie

*) „Historja drukarni krakowskich od zaprowadzenia druków do tego Miasta aż do czasów naszych“ — Kraków, 1815 r.

wychodzące gazety drukowane. Okoliczność tę tłumaczy przede wszystkim zupełna swoboda w podawaniu wiadomości o ludziach i wypadkach, pod którym to względem gazety drukowane nakładały, bądź co bądź, pewne więzy. Musiały te gazety pisane odgrywać poważniejszą rolę, skoro pod dniem 9 listopada 1763 r., w czasie interregnum po śmierci króla Augusta II ogłoszono: „A że Warszawa obfituje bardzo w Korrespondentów, którzy, co tu słycać, po całym Kraiu rozpisują, i wymyślnemi nayneścicy Gazetkami Pryncypałam głowę zaprzatają, i trwogi niepotrzebnej między pospolitym Ludem bywają przyczyną: Więć z rozkazu J. O. Xiążęcia Imci Prymasa ostrzega się publicum, żeby odtąd tylko drukowanym Gazetom wiać dawało. Te albowiem odtąd pod prasę drukarską bez rewizyi przez Osoby do tego wyznaczone wychodzić nie będą”. Ostrzeżenie to nie osiągnęło widocznie zamierzonego skutku, skoro w 20 lat później, 12 czerwca 1784 r., nałożono cenzurę również i na gazety pisane. Zarządzenie to nie dało jednak poważniejszych wyników z uwagi na nieuchwytność zarówno piszących, jakoteż sporządzonych przez nich gazet. Na sejmie czteroletnim zgłoszono wniosek: „ażeby dochodzono tych, którzy p.zez pisma anonimne drukowane... do buntu rozpalają, ażeby już te czernidła ustały y wolność bezimiennych druków pohamowana została”. Zasadę cenzury wypowiedziała również konfederacja targowicka, 1 lutego 1793 r.

Dziennikarstwo polskie posiada tedy dwuwiekową przeszłość i historję. Jest ono jedną z tych bardzo nielicznych instytucyj życia publicznego, które powołane do życia za dawnej Rzeczypospolitej, przetrwały wszystkie zmiany dziejowe. Nie pozostały one z natury rzeczy bez wpływu na stan i poziom dziennikarstwa, które pod niektórymi względami dzieliło los państwowości polskiej. Ulegało też zmianie wzajemne ustosunkowanie się prasy polskiej. Jeżeli bowiem weźmiemy pod uwagę np. stosunki z przed stu lat, to w dobie Królestwa Polskiego, pisma krakowskie, czy poznańskie uchodziły w odniesieniu do warszawskich za zagraniczne.

Jeżeli znów weźmiemy pod uwagę dziennik ówczesny a obecny, to tak znacznej różnicy nie znajdziemy chyba w jakiegokolwiek innej dziedzinie. Rocznik dziennika z przed stu lat, to książka większego formatu o objętości obszerniejszego słownika. Poziomy strony graficznej bardzo niski. Główna różnica polega jednak w treści. Dziennik warszawski w omawianej dobie naogół dziewięć dziesiątych miejsca poświęcał wiadomościom o sprawach obcych, czerpanym z pism zagranicznych. Jedna dziesiąta, to kronika dnia, sprawozdania z dziedziny nauki, literatury, sztuki, teatru, muzyki, wiadomości brukowe, ceny środków spożywczych, mody, przepowiednie pogody i t. p., a w najlepszym razie luźne wspomnienia historyczne, pozbawione jednak jakiegokolwiek głębszej myśli, lub auzji do ówczesnych czasów i stosunków. Natomiast zupełny brak omówienia jakiegokolwiek zagadnienia o charakterze narodowym, politycznym i społecznym.

Sto lat temu, ukazywało się w Warszawie (i temsamem w Królestwie Polskiem, gdyż poza Warszawą wychodziły jedynie ściśle urzędowe dzienniki woje-

wódzkie) dzienników — 9, oraz czasopism — 18**). Pokażne — jak na ówczesne czasy — cyfry. Ale ze stanem liczbowym nie szła w parze ani rozmaitość, ani rodzaj treści. Nie reprezentowały jakiegokolwiek myśli, jakichkolwiek przekonań. Sprawiała to bezwzględna cenzura, wprowadzona wbrew gwarancjom konstytucyjnym. Istniała za czasów pruskich, ostała się w dobie Księstwa Warszawskiego i dostała się w spuściznie Królestwu Polskiemu. Zniósł ją dopiero w połowie grudnia 1830 r. rząd powstańczy.

Zgrany zespół: w. ks. Konstanty, Nowosilcow, Zajaczek, Grabowski i Szaniawski w zupełności wyeliminowali przed stu laty prasę z życia publicznego. Od czasu do czasu jedynie mogła delikatnie zabrać głos w jakiejś kwestji politycznej. Za pozor służyła walka romantyków z klasykami. Za środki zaś wypowiedzania się, takie czy inne alegorje. Cenzura romantyków „poczytywała za błędnych rycerzy feudalizmu” i z tego względu nie sprzeciwiała się wkładaniu im w usta aktualnych tez. Że powstanie listopadowe i styczniowe nie poprawiły warunków prasy, jest rzeczą jasną.

Dzieje prasy polskiej, mimo jej dwuwiekowego istnienia, nie zostały do tej pory w całokształcie opracowane. Interesujący się temi dziejami, zdani są na monograficzne opracowania, a przeważnie na samodzielne badania. Opracowanie całokształtu historii dziennikarstwa polskiego, posiadałoby doniosłą wartość i znaczenie. Czy dawniejsza prasa była taka, czy inna, w każdym razie była naocznym świadkiem tego, co się na ziemiach polskich działo przez dwa wieki. Stosunki i warunki powodowały, że czasowo się kurczyła i przycichała — ale żyła. Znajdowała się tedy w o wiele szczęśliwszem położeniu od państwowości polskiej, gdyż byt prasy nie doznał ani razu przerwy.

H. Eile.

SONETY

*Ciemny wawrzyn i sława nigdy nie ukoją
skroni życiem zmęczonej w gremów czas złowrogi;
zagubią się me ślady wśród rozstajnej drogi,
której kresu żrenice już ujrzyć się boją.*

*Jak pszczoły, co się w wierzbie w kwietne lato roją
zaznałem mozół zbioru i burz ciężar srogi,
lecz szukając radości odnalazłem głogi
i miast mojej wielkości, tylko słabość moja.*

*Lecz w pokorze najcichszej, po burzy wiosennej,
gdy wilgoć wonna bije pod strop ciemnopienny,
a skrowronek znów nisko nad skibą polata,*

*zrozumiałem, że wielkość, co nad światem włada,
nie drzemie w skrzydłach orła, lecz w ciszy owada,
co w lichym pyle zdoła wyczuć wielkość świata.*

***) W tem 1 dziennik i 1 czasopismo w języku niemieckim.

*W każdej chwili żywota umierając zwolna,
krew przelewam w te słowa strugami ciemnymi;
nie mogąc ukojenia odnaleźć na ziemi
śpięsam, ja pył kosmiczny i glina padolna.*

*Smagany groźnym losem, jak krzewina polna,
pogodnych szukam niebios oczyma łzawemi
wśród strof, które się burzą wichrami chmurnemi,
w pieśni, która ból tylko jest wyśpiewać zdolna.*

*Pieśni, w tobie, co pachniesz, jak laurowe wieńce,
tylko trosk gorzkich znajdę sprószone kaczeńce,
i gwiazdy, przypomnienie bezgwiezdnej ciemności,*

*bo chcąc być święta, musisz w mrokach ludzkiej doli
przetrawić boleść znowu wspomnieniem, co boli
więcej, niż sama męka przeżyta w przeszłości.*

* * *

*Zwolna krocę pod górę. Gwiazdy nad mą głową
co raz bliższe mym oczom i wierniejsze duszy,
widzę dźwięk mknącej chmury po bezwiewnej głuszy
i pod palcami czuję ciszę bezdźwiękową.*

*Nieświadom jeszcze głębi ciszy tej i chmury,
płynącej mglistym szlakiem wysoko nade mną,
czujnym zmysłem wybiegam ponad ścieżkę ciemną,
chcąc osiągnąć strudzony grań najwyższej góry.*

*Lecz cóż ja wtedy pocznę, gdy stanę na szczycie
i spojrzeniem ogarnę nizkie, ludzkie włości
i potoki w dół mknące i skaliste granie. —*

*Dokąd pójdę pojawiwszy nierozważne życie,
wszystkie myśli najwyższe i wszystkie mądrości
szczytów, gdzie orły krzyczą i milczą otchłanie.*

Roman Brandstaetter.

CIENŃ ORŁA

Od czasu gdy do dworu w Borowinie sprowadzono pług motorowy, nie mógł Waclaw wyrzucić sobie, że siedzi na łaskawym chlebie.

Tętnem motoru przecież przez lat tyle — do niedawna — biło mu serce, w zakątkach płuc zdawało się kryć jeszcze wolne, podniebne powietrze huczące od rozpiętego serca motoru, jak szesnastostopowe piszczały organów pod sklepem gotyckiej trójnawy, sieczone wściekłymi ciosami śmigła, nieogarnione, ogromne, jak tęsknoty człowiecze, wolne, beztroskie jak Bóg w stworzenia dnia siódmym.

Wiadomo przecie: przez długie lata wojny był lotnikiem.

Tedy od chwili zachłyśnięcia się zapachem benzyny, milszym mu stokroć ten zapach nad wonie najcudowniejszych róż, palących się ciemną purpurą przed białym dworem. Wypłowiawe i przygasłe jego oczy zmodrzały znów niebem, nozdrza zadrgały jak listki olszynowe. Na czerniałym pergaminie oblicza zakwitł cień cynobru.

A kiedy w żelaznym płazie zaczęło dygotać serce i zółw pokraczny jął garnać pod swoją pierś ziemię szyldkretowemi brzuściami łap, kiedy zatopiwszy w rzepaczysko stalowe kły, podjął trud pracy, odwalając sypkie skiby rędziny — Waclaw odżył. Usadowiony na pełzaczu, czuł, jak niewidzialne ssawki żył biczymi głowonoga przerastają mu mięśnie i skórę, wydłużają się, błędzą poomacku po pancernym kośćcu potwora, jak wpijają się mu przez żelazną skórę do trzew, jak oplatają pulsujące, gorące osierdzie motoru.

Wrósł w stalowe ścięgna, wszczepił się nerwami w lity miąższ czołgu. Równia przestrzeni, falująca pieśnią łanów dojrzewających, stukająca — zda się — rozchybotanemi oskardami kłosów złotej „banatki” u horyzontu w szmaragdową ścianę nieba.

„Cletrac” sunął wolno, zdzierając kilkoma pasmami naraz białą skórę ścierniska. Rytmiczne tętno niosło się w ciszy pól, niby kroki zegara w opustoszałej komnacie. Nad niw bezmiernym chaosem nie było nikogo. Był Waclaw i słońce, a ku słońcu ulatywał modlitwą dziękczynną, jak smugi kadzidlane z trybularzy, siwy dym benzyny.

Nie, obecnie już nie jadł darmo chleba stryja swego, dziedzica na Borowinie.

Przez trzy lata bolały go spojrzenia oczu osób, gromadzących się na głos dzwonu przy stryjowskim stole. Każde wyciągnięcie ręki po skibkę chleba było upokorzeniem. Przypadkowe zwrócenie zrenic w jego stronę powodowało rumieniec wstydu. Opuszczał wtedy oczy ku nerwowym rękóm, które poruszały się niezgrabnie, jak obce mu istoty.

Gospodarz, siwy olbrzym z głową pochyloną stale ku prawemu ramieniu, człek o mądrych siwych oczach i sercu gołębia odczuwał zażenowanie Waclawa, nie rozumiejąc go jednak. Przecież do stołu, ogromnego jak łan pszeniczny, tyle osób siadało: dla wszystkich starczyło. Bawiono się i śmiano, radowano życiem. Jeden Waclaw... Przed gośćmi trzeba go było tłumaczyć zciszoną głosem, na ucho. Od kilku miesięcy bowiem Waclaw chodził nacodzień — we fraku.

— Jaktó, to Waclaw L.? — ów znakomity lotnik, zwycięzca w locie okrężnym, ten co w r. 1920...? — pytano z zdziwieniem, podnosząc oczy na wspaniałą głowę młodzieńca.

Tak!

Spojrzenia ciekawych ślizgały się po gorsie koszuli frakowej, wysuniętym jak pancierz na mocno sklepionej piersi.

Potem już wszystkim wiadomem było, że po brawurowych i głośnych zwycięstwach lądował raz zablisko zamkniętego hangaru. Kadłub samolotu w drzazgi rozwalił wrota hangaru, a Waclaw przeleciał w powietrzu kilkanaście metrów, uderzając głową w przeciwległą ścianę. Kask ochronił czaszkę od zmiążdżenia, ale od tego czasu... Tu bardziej usłużne w informacje wargi milkły, a podniesiony od czoła wskazujący palec kreślił dyskretnie maleńkie, jak miłosierdzie ludzkie — kółeczko...

— Mhm! — opuszczały się porozumiewawczo powieki.

Stąd ten frak... Rozumiano.

Waclawa, rekonwalescenta, odnalazł stryj w garnizonowym szpitalu i zabrał do Borowiny. Świadcetwa lekarskie orzekały, że zdrow. Wrócił w mundurze po-

ruczniaka rezerwy, ze srebrnym orłem na lewej piersi i szeregiem odznaczeń. Po roku zdjął wyświechtany mundur, zastępując go szarem cywilnym ubraniem, a gdy i to poczęło przeświecać na łokciach i kolanach, wdział ostatni strój, jaki przywiózł w brązowej walizce — frak.

Nanic zdały się najdyskretniejsze próby stryja. Przed sprowadzonym krawcem Wacław uciekł do swego pokoiku, zamykając drzwi na klucz.

Toteż, gdy Wacław w jesieni zorał pod oziminę „Cletrac’iem” ostatnie pole, rozwarły się przed nim szeroko olbrzymie ramiona stryja i oczy niebieskie mówiły z serdeczną prośbą: ...No, mój Wacławie, teraz czas... Odrobiłeś stokrotnie rzekome twoje zaległości... Jutro jedziemy do krawca...

— Jeszcze nie, stryjasku kochany. — Jeszcze nie! — odpowiadał nikły, bolesny uśmiech.

Wyciągnięte ramiona opadały bezradnie, a rzewność niebieskich oczu przysypywał popiół troski. Wacław ubierał się nadal we frak. Długa zima, wśród której drzemało serce motoru w żelaznych piersiach czołga i na serce Wacława prószyła białym śniegiem.

Kiedy z pod gronostajów puszystych z wiosną wychynęła się żywa gleba, a nikłe pręcie gałęzi zaróżowiło się pierwszym dziewiczym rumieńcem, żelazny smok odżył. Na rozdygotanem cielsku potwornego żółwia ruszył na przestworza pól Wacław. Wiatr, wychleptujący suchym jęzorem ostatnie wilże z przykop i bródz, targał połami podniszczonego fraka.

Apokaliptyczny zwierz, zapuściwszy w ziemię żelazne, lśniące pazury, przytłumił galaretowe rozdrżanie mięśni, związał się w sobie, zwał z glebą i ruszył przed się, jak wół ponury, wrosły w jarzmo wysiłku. Polyskujące wilgocią skiby rędziny wełniły się, niby fale ukołysanego do snu morza. Kładły się jedna na drugą jak pokolenia za pokoleniem pod ostrzem pługów wieków.

Zwały powietrza uderzały o pierś Wacława. Skrzydłami chłodnymi dotykały policzków. Buchały, niczem kryształowe górskie siklawy przez ubranie wprost na ciało. Grały w płucach, huczały po konarach ogromnych topoli nadwiślańskich przy gościńcu, przewalały się jak bryzgi śniegu przez niebo i słońce.

Na ustach i oczach Wacława zakwitł uśmiech, niby-to powagą tłumiony, niczem owe uśmiechy statecznych dziadków, spoglądających na baraszkuje nad miarę wnuki. I w jego piersiach stał śnieg.

Pod wieczór wichry — jak to w odwiecznym zwyczaju — przycichły. Nad garbami skib, niby nad wodami potopu, jak korab dziwnokształtny, płynął czołg w zorzy szkarłatnej. Pola dookolne nabierały tonu głębokich fioleatów i siności popiołu.

Nagle Wacław drgnął. Krew spłynęła mu gwałtownie do serca i bluznęła wszystkimi tętnicami w mózg. Wytrawne ucho zachwyciło przez głuche tętno motoru, podniebną pieśń nad pieśniami.

Wstrzymał motor.

Tak, to jego serce grało zwycięską fugą w piersi błękitnej nieba. Daleko, od horyzontu sunęła przez głębie firmamentu nikła linijka, ni to jętka nad modrą tonią jeziora. Po chwili urosła w ważkę o skrzydłach prostych. Na łuku niebios dźwięcząca cięciwę napinał zwycięski samolot.

Wacławowi przez twarde oblicze spłynęła jedna łza, potem druga. Zawyło w piersiach, jak on najgłośniejszy wicher, orzeł wichrów, rozwierający skrzydłiska na wierzchni atmosfery — tysiące metrów nad morzem zbałwanionych chmur.

W jednej łzie, zwieszanej u rzęs, jak w skupiającem zwierciadle zobaczył się w samolocie bojowym nad szczytami Alp, pod włoskim niebem... Wojna... Wir czterdziestu dwu samolotów nieprzyjacielskich kłębił się w błękicie. Suną ławą z hangarów z Bassano doliną Brenty na Fonzaso. Bezwzględny rozkaz: wlatywać nie wolno! — Nie wolno! — telefonuje szef sztabu korpusu.

Nie zdzierzył. On jeden za wracającą flotyllą skrzydłowców pognał.

Dopał nad Monte Grappą. Trzask, trajkot kulmiotów ze wszystkich stron — walka na pięciu tyśiącach metrów. Trzy aparaty zwałił. Potem planowa nagonka. Odwrót i pościg. Strzały goniących. Śmignął nad Monte Pertica i Monte Prassolan, stąd linją prostą ku Feltre. Strzał wroga w rezerwoar i dech płomieni w twarz. Wtedy ten skok szaleńca w wiązania międzyskrzydłne dwupłatowca i koziołkowanie między niebem a ziemią w szumiącym ogniu samolocie. Wszczepienie w druty. Kotłowanie się nieba i ziemi... obłąd uporu. Tak dwa tysiące metrów wdół w szarpaninie piekielnej z rzutami obłąkanego kadłuba — w skrzydłach szalejącej komety o rozżagwionej głowni. Napięcie instynktu zwierzęcego ponad granice możliwości — wola życia — przepaść nieba i otchłania, w momencie oparcia się poziomego skrzydeł na mgnienie powieki, skok do steru i ów powrót jedyny na lotnisko w Feltre, lotem ślizgowym o martwym motorze. Cały front powtarzał jego nazwisko. Skrzydła legendy wykwitły mu u ramion, jak pióropusze dymu, ciągnące za samolotem na szafirze nieba.

I znów wieniec zerwany ze złocistego kasku słońca. Cała Polska przesunęła się pod skrzydłami jego samolotu jak film barwisty. Nakrył ją wichrem śmigła, jak kochankę pocałunkami, śpiewał jej najcudowniejszą, szaloną umiłowaniem Pieśń nad pieśniami w brylantowe południa, a na liljowe powieki wieczorów strącał paciorki różańca, szeptane pod sklepem niebieskiej katedry sercem motoru i jego sercem, zciszonem w godzinie rozdzwonów modlitewnych nad usypiającą ziemią.

Czołg włókł się żółwim pełzaniem powrotną drogą ku zabudowaniom folwarcznym. W piersiach Wacława pękła struna słoneczna. Świat zszarzał, spopieliał, zbrzydł. Zanikający rytm niewidocznego już samolotu zabrał mu duszę w przestwory na bezdrożne szlaki wędrowania nieskończonego w zwycięskim łopocie sztandaru, niesionego ku łądom gwieździstym.

Mechanizm mięśni odprawił leniwego gada na świętowanie niedzielne pod dach.

— Bo widzisz panie święty... — huczał głęboki bas nad uszami Wacława. — Ty jeden znasz się na tem... Tyleś zagonów, tyleś skib odwalił... — stryjowski oblicze pochylało się w uśmiechu... — A tu idzie wielkanoc... będą goście... Widzisz... ten frak... Przecież to ja jestem teraz twoim dłużnikiem... Już

najwyższy czas... No, kochany chłopie, zgoda? No, widzisz, widzisz... — wcałowowały szerokie usta.

— Tak, tak, już czas! — Miał w wargach papierowe słowa, spoglądając na frak zszarzały, poplamiony oliwą i smarem.

— ...A teraz, że to przy świętej niedzieli... konie zaraz podejda... Może pojedziesz z nami do kościoła...? Piękną bo Bóg dał pogodę... Za jakies pół godziny...

— Wezmę płaszcz.

Wacław odszedł ku parkowej altanie, całej w szczebiocie ptactwa, rozdzwonionej w słoneczny ranek wiosny.

Strzał!

W popłochu rozniosło się ptactwo, jak plewy, poderwane wichrem z klepiska.

Przerażone oczy naddbiegłych ślizgały się po gorse świeżej koszuli, na który ze skroni nikłem pasemkiem sączyła się krew.

Józef Aleksander Gałuszka.

NA MARGINESIE

Pisma czeskie i niemieckie żywo komentują wyniki ogólnego zjazdu literatów polskich w Poznaniu, oraz poświęcają wiele miejsca wnioskowi o utworzeniu akademii literatury polskiej. W ostatnich dniach ochwale dotyczącej akademii literatury polskiej informują swych czytelników Frankfurter - Zeitung, Berliner Börsen - Zeitung, Pravo Lidu i Narod (Praga).

La Scène (Revue Catholique du Theatre, miesięcznik teatralny redagowany przez Gestona Pulings'a w Brukseli w odpowiedzi na wzmiankę naszą o niedostatecznej informacji społeczeństwa belgijskiego w sprawach polskiego teatru nadsyła nam swój numer majowy, w którym znajdujemy zwięzłe i jasno napisany artykuł p. Zygmunta Toneckiego p. t. *La Litterature dramatique polonaise contemporaine*.

P. Z. Tonecki daje publiczności belgijskiej przegląd polskich pisarzy dramatycznych od Wyspiańskiego aż do Iwaszkiewicza (Kochankowie z Werony). Rozumiemy dobrze, że w krótkim ujęciu nie mógł p. Tonecki wymienić i scharakteryzować wszystkich autorów. Zdaje się jednak, że najbardziej nawet zwięzłe ujęcie nie uprawni sprawozdawcy do zapomnienia, czy ominięcia w literaturze dramatycznej polskiej — Tadeusza Rittnera!

W związku z otwartą w Warszawie wystawą rzeźb St. Szukalskiego, wywołującą tak sprzeczne głosy krytyki (nie byłby Szukalski wielkim żywiolowym talentem, gdyby sprzecznych głosów krytyki nie wywoływał) przypominamy naszym czytelnikom, iż na tle wystawy Szukalskiego w Krakowie doszło do wielkich bojów krytyczno - publicystycznych, w których brał udział sam artysta, odpowiadając na krytykę Bohusza drukowaną w Krakowskim Kurjerze Codziennym.

Odpowiedź Szukalskiego p. t. „*Górne cięcie*“ (*Rozbohuszowanemu bawołowi na Wawelu*) ukazała się 2 czerwca w Krakowie i kolportowana była, jako specjalna ulotka. Fragment odpowiedzi, pisanej gwałtowną, nader swoistą prozą załączamy poniżej:

„P. Adolf Bohusz mówi, „że sztuka Szukalskiego nie jest jeszcze skryształizowaną“. To jest jeszcze jeden dowód, że mówi do nas laik. Skryształizowanie równa się zwapnieniu żył i przepuszcza tylko tyle krwi, a nie więcej, ile danemu człowiekowi tożsamość uczuć i tożsamość odruchu pozwoli, czyli: przeciętność, codzienność i śmierć zapału. Pan Bohusz jako złośliwy człowiek obraca sobie w głowie takie frazesy, jak niemowa językiem w bezzębnej jamie bełkoczący: „Jeżeli on jest ciągle inny, to jeszcze nie znalazł się, zaś jeżeli się znalazł, to manierysta“.

Polskości p. Adolf Bohusz u Szukalskiego nie widzi. To znaczy czego? Jakich stylów? Gotyckiego? Renesansu? Baroku? Roccoca? Biedermayera, czy Secesji? A może stylu zakopiańskiego? Któż to nam te style na Wawelu zrobił, a kto te kaplice i sklepienia? Polacy? A może powinienem być pod wpływem sztuki ludowej? Jednak źle chcących i to nie uspokoiłoby. Wszakże za to chcą Stryjeńską po łapach bić, twierdząc, że ona tam się rodzi, lecz „winna“ się tego wyżyć.

P. Bohusz i inni laicy myślą się myśląc, że wartość leży w elementach użytych przez artystę. Lecz zasługa jest tylko tego, kto te wartości bierze, tak jak wartość leży nie w słowniku, lecz w tym kto te słowa kuje w topór, co podłosci głowę od tułowia oddziela, lub drabinę do nieba wiąże dla tych, co tam się dostać nie umia.

Dlaczegoż to stara się p. Bohusz porównywać swoją twórczość do Wyspiańskiego? Czemuż to jabłoni do gruszy zestawia i z tego wnioski ciągnie? Jeżeli p. Bohusz woli gruszkę, a jabłko mu jej w smaku wcale nie przypomina, to nie będzie to jednak dla nas „niezbitym“ dowodem, że jabłko owocem być przestaje. A gdyby nawet to dowiódł swą adwokaturą, to jeszcze by nie przekonał spożywców, że sam jest Wyspiańskim, lub wogóle artysta.

Pisze dalej p. Bohusz, że sztuka „winna przemawiać do nas prostotą i niemal naiwnością“. Tylko niepotrzebnie mówi o sobie w liczbie mnogiej, boć wiemy, że każdy organizm tylko taką strawę przyjmować może, jaką zatrzymać potrafi. Prostym i naiwnym trzeba „prostej i naiwnej“ sztuki — strawy, i innej, aniżeli umysłem rozwiniętym i już samodzielnym. Niemowlęciom tylko rozwodnione mleko służy, nie wytwarzając sera w żołądku. Kretom zaś oczka ślepną gdy niespodziewanie, przez szparę w ziemi, słońce je swoim promieniem potrafi“.

Deutsche Stimmen (pismo wychodzące dwa razy na miesiąc, w Staats politischer Verlag, Berlin) w numerze z 20 czerwca przynosi między innymi dłuższy artykuł comisarza wystawy plastycznej niemieckiej w Warszawie Dra Alfreda Kuhna o znaczeniu urządzania wystaw w obcych państwach (*Kunstaustellungen im Ausland als Mittel kulturpolitischer Werbung*).

Dr. A. Kuhn omawiając wysiłki różnych krajów podnosi energję i ruchliwość Polaków, którzy w ubie-

głym roku urządzili siedm wystaw plastyki w różnych krajach. Nierozumiałym jednak wydaje się nam użyty przez Dra Kuhna, mówiącego o naszej plastyce zwrot — (Polen die zum mindesten auf Junge Nation, dem Gebiete der bildenden Kunst noch kaum ein scharf umrissenes Gesicht hat. Młody naród o ledwie zarysowanym obliczu w dziedzinie sztuki plastycznej). Zwrot ten miałby może rację bytu w ustach artysty plastyka francuza, czy anglika. W ustach niemieckiego plastyka zakrawa na znaczną przesadę.

Odpowiadając p. Mortkowiczowi, który w liście do „Wiad. Literackich” twierdził jakobyśmy błędnie poinformowali naszych czytelników o wystawie książki na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu, podaliśmy nasze własne argumenty, oraz opinię „Przeglądu Księgarskiego” (Nr. 25-26).

W ostatnim naszym Dodatku powołaliśmy się na pierwszy ustęp artykułu „Przeglądu Księgarskiego”. Oto jak brzmią dalsze ustępy:

„Zaszczytny wyjątek stanowi tu firma Gebethner i Wolff, która zilustrowała nadzwyczaj obrazowo i interesująco rozwój wysokości produkcji swej zarówno w ciągu ostatnich lat dziesięciu, jak i przez uczynienie porównań z kilkoma uprzednimi dziesiątkami lat. Ale i tego nie można nazwać całkowicie zadawalającym. W widziui bowiem zestawienia te budzą zaciekawienie, a nie zaspakajają go naogół. Jasne jest naprzykład, dlaczego produkcja z okresu niepodległości dziewięćkrotnie przewyższa produkcje z lat 1858 — 1867, ale wydaje się dość zagadkowym fakt, że w ciągu ostatniego dziesięciolecia firma wydała największą ilość tomów w roku 1920, — wszakże roku wojny — a najmniejszą w 1926. Nie wiemy, a chcielibyśmy wiedzieć, czy jest to wyłącznie wynikiem finansowej gospodarki firmy, czy ma szersze podstawy, i jakie. Jedno, dwa słówka objaśnienia przy każdej pozycji uczyniłoby całkowicie zadość zainteresowaniu widza. Poza tem zresztą, jak zaznaczono wyżej, firma „Gebethner i Wolff” w zupełności odpowiedziała swemu zadaniu.

Ale — niestety — jest ona tylko przysłowiowym wyjątkiem od reguły. Z wystawy książki bowiem nie można się o książce i jej rozwoju dowiedzieć nic ponad to, o czem wiemy na podstawie codziennie oglądanych witryn księgarskich. Tymczasem istnieje wiele zagadnień, co do których możnaby i warto poinformować owe rzesze, zwiedzające wystawę. Obecne rozsiadanie księgarń w Polsce — to zamało, by się dowiedzieć, co na tem polu zrobiono w ciągu dziesięciolecia, tak jak przedstawienie całkowitej produkcji z roku 1928 — czego zresztą nie zrobiono — nie pouczy widza o losie książki w okresie niepodległości”.

„Przegląd Księgarski” bardzo subtelnie poucza p. Mortkowicza, jak trzeba urządzać wystawy książki. Nie dość tu „zapłacić za stoisko”, nie dość wystawić malunki doskonałej malarki i druki doskonałej drukarni i autograf wielkiego pisarza. Trzeba jeszcze umieć przedstawić i pokazać — życie książki.

ikb.

DZIEJE I PUŁKU PIECHOTY LEGJONÓW

Tak się złożyło szczególnie (o którym to przypadku wcale nie pisałbym, lecz jak się zaraz okazuje, przypadek ten ma przecie wielką styczność z tem, co tu dalej następuje), że któregoś wieczora z ostatnich już dni czerwca przeglądałem szuflady swego biurka, aby zrobić jakiś porządek z papierami. Nie może bowiem tak być dłużej, żeby się stare papierzyska rozlegiwały w szufladach, nowe zaś, żeby wciąż z miejsca na miejsce przeganiać.

Zaczynam więc ten przegląd od dołu, od szuflady najniższej, gdzie leżą stare i poźółkłe już druki, tak oddalonych sięgające czasów, — rok 1914-ty, piętnasty, szesnasty, siedemnasty.

Mam te papiery teraz właśnie w rękach.

Więc pokój, jakby się rozstał nieznacznie i w nicś spłynął i oto szeleści mi w palcach nasz wielki, dawny, sławny, niezastąpiony czas, największy czas bojów i trudów brygadowych, czas tej młodości najszczytniejszej a niepowrotnej a wiecznie żywej i zawsze przepojonej urokiem najszcześniejszym.

Z pośród papierzysk złożonych i poźółkłych wpada mi w rękę strzęp gazety, na którym widnieje tytuł:

Przejazd 1 p. p. przez Kraków.

Kiedyż to było? Odwracam więc gazetę, aby zobaczyć datę: *Kraków, piątek, 21 września 1917 roku.*

W artykuliku pod tytułem — *Przejazd 1 p. p. przez Kraków* czytam:

„Wczoraj koło godz. 11 przed południem na torze z Podgórza do Krakowa słychać było wybijającą się ponad huk pociągów polską pieśń: Hej Strzelcy wraz.

Publiczność tłumnie biegła ku mostom. Oto przejeżdżał ogromny pociąg ze sławnym 1-ym pułkiem piechoty polskiej. Wagony umajone zielenią, opatrzone wizerunkami orła polskiego i napisami: Niech żyje Piłsudski!

W oknach, w szerokich drzwiach towarowych wagonów na platformach oficerowie i żołnierze. Chcą się napatrzeć staremu Krakowowi”. —

Ależ tak, doskonale pamiętam, artykuł nie ma żadnego podpisu, ale to ja pisałem, pamiętam doskonale.

„Chcą się napatrzeć staremu Krakowowi, chcą zapamiętać te stare wzniosłe mury, wśród których wzrosli, z których wyprowadził ich wódz 6 sierpnia — na polską wojnę.

Ktoś płacze . . .

Wyrostki krzyczą — to pierwszy pułk!

Jakieś panie biegną przez ulicę z zawiniątkami w stronę dworca.

Stary jegomość przepycha się przez gapiów: — Muszą mnie puścić — woła, — muszą mnie puścić, tam jedzie mój chłopiec!”

Tu przerwać muszę lekturę, ktoś dzwoni do przedpokoju. Już siódma, nikogo teraz nie czekałem, pewno list ekspres, a może woźny z księgarni przynosi korektę.

Tak, to był woźny z księgarni, z jakiemiś książkami.

Nie wiem z której księgarni, podpisałem machinalnie pokwitowanie i z jakimś grubym tomem wracam za swoje biurko.

Zaraz spojrzę, co to tam znów nowego przynieśli, — chcę jednak przedtem skończyć ów krótki artykuł, pisany w roku 1917-tym, dobrze pamiętam kiedy...

Gdy z powodu przysięgi beselerowskiej nastąpiło rozwiązanie Legionów, gdy po trzech latach świetnych wspaniałych bojów, królewiaci poszli do Benjamina i Szczypiorna a austrjacy poddani tak właśnie oto jechali po tylu latach i trudach koło wolności polskiego oręża położonych — w ciężką niewolę zbrojną na włoski front.

Czytam swój artykuł:

„W huku wagonów grzmi pieśń, — jak hurra w czasie szturm. Mieszczanie stoją na dole przy torze, wymachują chustkami.

Oczywiście! No, bo to przecież stary znakomity żołnierz, najstarsza kadra polska, kosztem trzechletnich ofiar wspaniale wychowana, piechur, jakiego od 1831 roku nie miała Polska.

Na dworcu żegna żołnierzy Bolesław Limanowski i poseł Moraczewski. Dokoła nich gromadzą się oficerowie. Młody kapitan Lis-Kula zdobywca Kukli w sławnych wołyńskich walkach, kapitan Konas dowódca transportu, kapitan Sas - Kulczycki i wszyscy inni.

Zbliża się czas odjazdu. Żołnierze dostają kwiaty. Goście z miasta nie mogą się nażegnać, nagać!

Stare strzelcy!

— Gdy na nich patrzę — zwierza się ktoś poufnie, — jak odjeżdżają, to jakby ze mnie żywcem ciało wyrywano ...

Pociąg odjeżdża. Panie wstydzą się płakać, więc śmieją się przez łzy.

We wszystkich oknach i drzwiach wagonów stoją żołnierze, pewni siebie i dumni i krzyczą, że się echem roznoszą:

Niech żyje Polska, niech żyje komendant Piłsudski!”

Pod spodem tego artykułu na tej samej kolumnie, zaraz dalej widnieje tytuł: *Aneksjonści niemieccy przy robocie.*

Odkładam na bok strzęp starej gazety i oto patrzę, jaką to książkę trzymam w drugim ręku:

Adam Józef Borkiewicz.

DZIEJE I PUŁKU LEGJONÓW.

Warszawa 1928.

W rogu okładki nad figurą polskiego piechura żelazny znak Pierwszej Brygady.

Dzieje 1-go pułku piechoty Legionów, wielka, ogromna książka, przeszło tysiąc stronic.

Przeglądam pierwsze kartki. Dedykacja:

*Twórcy i Wychowawcy swemu
Pierwszemu Marszałkowi Polski, Komendantowi
JÓZEFOWI PIŁSUDSKIEMU*

*Naczelnemu Wodzowi z wojny 1918 - 1920
pracę tę poświęca 1 Pułk Piechoty Legionów.*

Jeszcze dalej kursywa generała Śmigłego - Rydza, czytam pośpiesznie ostatnie alinea:

W kartach tej książki zawarta jest opowieść o rzetelnie spełnionym żołnierskim obowiązku, bije w nich gorącym młodzieńczym tętnem krew tych, których dziś mogiła kryje, woła przeszłość wielkim głosem o swej sławie — ale i o obowiązku przyszłości.

Książkę tę będę czytał później, teraz przecinam kartki, przelatuję oczami pobieżnie, aby tylko przypomniać sobie od początku te wszystkie dawne miejsca te wszystkie marsze, bitwy.

W OKRESIE WOJNY ŚWIATOWEJ:

6-go sierpnia 1914 roku o godzinie 3 min. 30 wy-maszerowała z Krakowa szosą na Kielce kompanja kadrowa, jako czoło 1-go pułku strzelców Józefa Piłsudskiego. Udała się w kierunku jedynej drogi do Niepodległej Ojczyzny: na pola bitew, by czynem orężnym budzić Polskę do zmartwychwstania...

OŻARÓW, POD LUBARTOWEM, 5 SIERPNI 1915.

Oto chwytam ten fragment rozkazu:

Rok minął. Wyrobił się z nas ten typ żołnierza, jakiego nie znała dotąd Polska. Nie brawura, nie błyskotka żołnierska stanowi najistotniejszą naszą cechę, lecz ten przedziwny spokój i równowaga w pracy bez względu na przeciwności, jakie nas spotykają. Z młodego chłopaka w naszej atmosferze wyrabia się szybko spokojny, równy stary żołnierz, przygotowany na długą i żmudną pracę nie spalający się, jak słoma w pierwszym drobnym ogniu.

Rozdział następny: *W Niepodległej Ojczyźnie, aż do końca tej książki do części czwartej t. j. Złotej Księgi Pułku, w której zawarte są spisy poległych i ich krótkie życiorysy — w wielu rozdziałach jedna olbrzymia epopea wspaniałego ciągu trudów i czynów wojennych pod Wilnem, nad Wilejką, pod Dyneburgiem w czasie wyprawy kijowskiej, pod Żytomierzem, Kijowem, straszliwy bój podczas odwrotu pod Borodzianką, walki z Budiennym, walki w wielkiej ofensywie z nad Wieprza a potem znów z powrotem aż do bojów pod Lidą i do ostatniej bitwy pod Radoszkowcami.*

Lecz pocóż boje te i czyny sławne zjawiają się tu właśnie na tych stronicach literaturze wyłącznie poświęconych?

Sądzę, iż niema w Polsce miejsca pracy dążenia i wysiłku, gdzieby historje takich oto pułków, jak ten Pierwszy nie na miejscu były i nie w porę. Albowiem — cały nasz trud przecie, spokojny i radosny, z uczynków takich i historji pogodę swoją czerpie, oraz pewność.

Po drugie zaś jest rzeczą we wszystkich najróżniejszych i wszystkich dziedzinach tworzenia ludzkiego budująca, gdy ujrzeć można jak taka jedna garść ludzi duchem wiedzionych, pojęła moc ducha owego przetrwała wszystkie ciosy i wszystkie poniewierki i z wygnania wróciła do kraju i kraj ów odwojowała odwagą, męstwem i cierpieniem i teraz w kraju tym buduje prześwietną swą historję.

Juljusz Kaden-Bandrowski.

WSPÓŁPRACA RADJA I BIBLIOTEKI

O ciekawym eksperymencie — polegającym na wykorzystaniu radja przez bibliotekę opowiada jedna z bibliotekarek amerykańskich Alice B. Loy. Oto wkrótce potem, gdy Kodel Radjo Corporation zbudowało swą stację nadawczą — biblioteka publiczna w Cincinnati została zaproszona do zorganizowania raz na tydzień 15-o minutowej pogadanki, poświęconej omówieniu ciekawych książek. Ofertę tę zaakceptowano natychmiast z całego szeregu względów. Przede wszystkim była to doskonała sposobność szerzenia kultu książki wśród mieszkańców Cincinnati i całego stanu. Powtórę chodziło o nawiązanie bliższego kontaktu z czytelnikiem — i co było wtedy aktualne — zorganizowanie nacisku publicznego na władze samorządowe, by te wyasygnowały odpowiednią kwotę na budowę nowego gmachu dla księżnicy.

Jakimi względami kierowali się organizatorzy pogadanki! Otóż intencją organizatorów było zainteresowanie przeciętnego radjoodbiorcy książkami, które ze względu na swą wysoką wartość powinny być znaleźć powszechny zastęp czytelników. W pierwszej pogadance omówiono następujące książki: „17 lat życia i pracy” Samuela Gompersa, „Dwa razy” Edwarda Boka, „Od emigranta do wynalazcy” — Michała Pupina i „Karol Proteusz Steinmetz — J. W. Hammonda.

Były to biografje czterech emigrantów, którzy zrobili wiele dobrego dla kraju. W ciągu 48 godzin po wygłoszeniu pogadanki biblioteka otrzymała mnóstwo podziękowań. Pierwsze pochodziło od pewnego kupca korzennego, zapalonego wielbiciela Gompersa. Inne listy, pełne zachwyty, pochodziły od rzeźnika i kucharza.

Jak wkrótce doświadczenie wykazało rozłożenie owego kwadransa na dwie siedmio lub ośmiominutowe pogadanki daje daleko większe korzyści niż jeden piętnastominutowy komunikat. Praktyka wykazała, iż w ciągu siedmiu minut można naszkicować sylwetkę autora i podać krótką listę jego książek, porównując je z odpowiednimi książkami innych autorów. Jednocześnie wyjaśniło się, iż jedna osoba nie wystarcza przy sporządzaniu listy i przeto dodano jej do pomocy dwóch odpowiednio wyszkolonych asystentów.

Wkrótce potem zadecydowano personel biblioteki wciągnąć do pracy — i z tego względu zorganizowano specjalne zebrania tygodniowe. Wszyscy ci, którzy mieli jakikolwiek kontakt z publicznością i powinni byli znać nowo wydane książki, byli zaproszeni na owe zebrania, by wypowiedzieć swe zdanie odnośnie do układanego programu. Potem listę oddawano speakerowi broadcastingu. Lista obejmuje wyłącznie książki naukowe, biblioteka wychodzi bowiem z założenia, iż beletrystyka „idzie” bez specjalnej reklamy, czego nie można powiedzieć o książce naukowej. Nazwisko autora i tytuł podawanej książki powtarza się conajmniej dwukrotnie: przede wszystkim na początku sprawozdania, powtórę przy zakończeniu. Kończąc, speaker zawsze napomyka, iż wymienione książki są do przejrzenia w bibliotece, pod protektoratem której odbywają się „kwadransy książki”.

Reakcja czytelnika na hasło rzucone na fali eteru jest natychmiastowa. Już zazwyczaj na drugi dzień wymienione książki są zamawiane w bibliotekach, nieraz czytelnicy przychodzą z listą książek nadanych ostatniego wieczora przez radjo. Jednocześnie kierownictwo biblioteki przed omówieniem książek ze stacji nadawczej wysyła sporządzoną listę do księgarń, by te zawczasu mogły się przygotować do wzmożonego popytu.

Jak więc widzimy, współpraca biblioteki z radjową stacją nadawczą ma zawierny wpływ na rozwój czytelnictwa.

L. Ron.

KRONIKA CZESKO-SŁOWACKA

Spuścizna literacka po poecie: Antonin Sova.

Praska firma wydawnicza „Aventinum” przygotowuje wydanie dzieł Antonina Sovy: „Hovory Veci” i „Za clovekem”. Redakcję tego wydawnictwa objął znany literat Arne Novak.

Karol Engelmüller: „Leopold Dostalova”.

Karol Engelmüller, znany teatrolog praski i gorący entuzjasta teatru zainicjował ciekawe wydawnictwo monografji aktorskich. Obecnie ukazała się na półkach księgarskich monografja, poświęcona artystce dramatycznej „Narodného Divadla” w Pradze, Leopoldzie Dostalovej.

Ze skrupulatnością bibliografa i z artystycznym polotem kreśli Engelmüller rozwój talentu artystki od jej ról naiwnych, jak Małgorzata w Fauscie do dramatycznych ról ibsenowskich i kreacji tragicznych jak Lady Makbeth i Elektra.

Książeczka, ozdobiona licznymi ilustracjami, przedstawiającymi znaną i cenioną tragiczkę czeską w jej najciekawszych kreacjach scenicznych jest bardzo miłą i pożyteczną lekturą.

Poezje Jaroslawa Haseka.

W zbiorowym wydaniu znanego autora popularnego Szwejka ukazały się jako 16-ty tom wydawnictwa poezje pod tytułem: „Majowe Wykriky a jiné verse” (Majowe echa i inne wiersze). W zbiorze tym znajdują się poezje z okresu najwcześniejszej młodości autora, jakoteż wiersze polityczne z czasów wojny.

Słowiańskie pieśni ludowe.

Ludwik Kuba, doskonały znawca słowiańskiej pieśni wydaje już od roku 1884 zbiór tekstów i melodyj: „Slovanstvo ve svych zpevech” (Słowianstwo w pieśni), w których autor zamieścił liczne pieśni, zbierane bezpośrednio u ludu czeskiego, morawskiego i słowackiego.

W późniejszych latach zajął się autor pieśnią rosyjską, serbską i bośniacką, jak również czarnogórską.

W roku 1926 począł sędziwy folklorzysta wydawać pieśni staroserbkie, później macedońskie.

Obecnie przygotowuje pełen jeszcze młodzieńczego zapału entuzjasta pieśni bułgarskie i pieśni Rusi Podkarpackiej.

Monografia o Antonim Dworzaku.

W związku z uroczystościami ku czci Antoniego Dworzaka, które kraj cały obchodził z wielkim pietyzmem urządzając liczne przedstawienia, koncerty i akademje, wydał ceniony biograf i znawca twórczości kompozytora „Libuszy”, Ottokar Sourek nie wielką jubileuszową monografię w wydawnictwie „Zlatoroh”, w którym ukazały się już poprzednio monografie najwybitniejszych muzyków czeskich.

Sourek, autor wielkiej, nieukończonyj jeszcze monografii o Dworzaku, daje tu krótki szkic biograficzny, analizując przytem dzieła Dworzaka, podzielone na poszczególne grupy: na utwory operowe, symfoniczne, na muzykę kameralną, fortepianową i na pieśni.

Z ŻYCIA KULTURALNEGO WŁOCH

Luigi Pirandello: „Il Turno”.

Florentyńska firma Bemporad, która się zajęła kompletnem wydaniem dzieł Pirandella, wydała obecnie jego młodocianą powieść: „Il Turno”, która jakkolwiek napisana przed trzydziestu czteru laty nosi na sobie wszelkie cechy wielkiego paradoksyisty sycylijskiego. W tym młodocianym utworze przeblyskuje już plastyka opisów i barwność opowiadania, świetna w skrócie charakterystyka postaci, zwartosc formy i zwięzłość treści, w której jest nieraz dużo gorzkości i bólu, tego szczerzego bólu duszy ludzkiej, zaprawionego u Pirandella znaczną dawką bolesnego i zgryźliwego humoru.

Wielka wystawa sztuki włoskiej w Londynie.

W Londynie przygotowuje się z wielkiem staraniem i nakładem pracy ze strony miarodajnych czynników włoskich piękną reprezentacyjną wystawę sztuki włoskiej w jej świetnym historycznym rozwoju. Kierownictwo wystawy powierzył Mussolini, który objawia wielkie zainteresowanie tą wystawą, profesorowi Ettore Modigliani'emu, dyrektorowi galerji „Brera” w Medjolanie.

Wystawa obejmować będzie najcenniejsze dzieła sztuki włoskiej od wieku trzynastego do dwudziestego.

Italia, Rzym i Papiestwo”.

Pod powyższym tytułem wyszło w trzech tomach dzieło, które oświetli należycie sprawę Układów laterańskich.

Tom pierwszy zawiera dyskusje parlamentarne w tej sprawie w latach od roku 1860 do 1871. Tom ten, podzielony na trzy części, poprzedzony jest słowem wstępem, napisanem przez prezesa senatu, Federzoni'ego.

Tom drugi tego ciekawego wydawnictwa dotyczy już ostatnich układów i dyskusji parlamentarnej nad sprawą porozumienia w Parlamencie i w Senacie włoskim.

Najciekawszy jest bezsprzecznie tom trzeci, który jest dziełem samego Mussoliniego i nosi tytuł: Benito Mussolini: „Gli accordi del Laterano”. Książka, która kosztuje tylko 5 lirów celem umożliwienia jej wielkiego zbytu, wydana jest bardzo estetycznie nakładem księgarni rządowej „Libreria del Littorio”.

LIST DO REDAKCJI

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Na skutek twierdzenia Boya-Zeleńskiego w nr. 284 „Wiadomości Literackich”, iż jedna część pamiętnika Zofji Lenartowiczowej przepadła bez wieści, pozwałam sobie przypomnieć moją notatkę z nr. 24 „Wiadomości Literackich” z r. 1924, którą zresztą powtórzyłem za monografią H. Biegeleisena o „Irniku mazowieckim” (str. 60).

W bibliotece publicznej w Rzymie złożony jest do przechowania pamiętnik Zofji z Szymanowskich Lenartowiczowej z zastrzeżeniem, że dopiero w r. 1915 oddany być może do wiadomości ogółu i t. d.

Wobec tego, że termin podany dawno już upłynął, nie ma żadnej przeszkody do wykorzystania tego pierwszorzędnego — jak słusznie przypuszczałem — źródła, którem prawdopodobnie okaże się złożona przez Artura Wolyńskiego, a obecnie poszukiwana część pamiętników Lenartowiczowej.

Częstochowa, 28/VI-29 r.

Z poważaniem
Eugenjusz Land

ODPOWIEDZI

„GŁOSU PRAWDY” LITERACKIEGO

E. Morski. Bierzemy pańskie pierwsze zdanie: „Strumienie światła lunęły na stulone, jak dwie skorupki muszli osłaniające perłę, powieki i przebiwszy, je miljonami żądał jęły drażnić spoczywający w mrocznym niebycie nerw”. Niech się Pan przedewszystkiem przypatrzy składni tego zdania. Jest zła. A teraz jeżeli chodzi o sens: Chciał Pan opisać proces przebudzenia się człowieka. Trzeba to było jednak jakoś odczuć, pokazać, narzucić. Ba, — może poprostu powiedzieć, że ten ktoś obudził się? Tymczasem poszedł Pan drogą najzawilszą i oto, zamiast zobaczyć budzącego się człowieka, — widzimy skorupki, perły, miliony żądał i t. p. Czy rozumie Pan, o co nam chodzi? Porównanie ma wzmacniać i uprzyśtępiać obraz, nie może jednak utrudniać pojęcia, czy widzenia opisywanego zjawiska.

Janusz, Bydgoszcz: Niechże Pan sobie wyobrazi, — wydrukujemy. Nie są to jeszcze żadne cuda ta nowela, ale przecież opowiadanie trzyma się razem, rozwija się dobrze i płynnie, osoby działające mają swą własną fizjognomję. Prosimy, by nam Pan napisał, jak chce sygnować to opowiadanie. Uprzedzamy też (może się Pan na to nie zgodzić), że tu i ówdzie skrócimy nieco. Ta oferta tu i ówdzie zadużo myśli, albo też lubi sobie dwa razy jedno i to samo pod rząd pomyśleć. Czytelnikowi wystarczy jeden raz. Prosimy w liście powołać się na tytuł noweli. Radzimy pisać dalej, ale posuwać się już głębiej, tak w obserwacji środowiska, jak też budowy poszczególnych charakterów. Serdecznie dziękujemy za tak miłe zwrócenie.

Kanclerz Danuta: Dobrze Pani zrobiła, nie przepisując do końca tej noweli. Nie warto było. Przypuszczamy, że można pisać z punktu widzenia „klucza“, od wewnątrz klucza, trzeba to jednak zrobić tak, by było do wiary podobne. By miało siłę impozycji. Tymczasem Pani klucz, jest niby to kluczem, w gruncie rzeczy zaś lichym symbolem, a nawet raczej nieudaną mistyfikacją. Kto wie jednak, czy nie potrafiłaby Pani dobrze pisać? Są w tej nieudanej noweli pewne spostrzeżenia, chwytły, uwagi, które świadczą o bystrej, czujnej obserwacji. Niechże więc Pani pomyśli nad tem swoim pisaniem, — nieco poważniej i rozsądniej. Żadne klucze i tego rodzaju wymysły, tylko określone środowisko, pilna obserwacja — i do roboty. Ale nie oszukiwać samej siebie.

Stanisław Jerzy L. Kraków: Oba wiersze słabe. Nie utrzymał się Pan w nastroju opisując ową jesień. Starowinka wchodząca na końcu wiersza jest banalna, niezręcznie wprowadzona, cały utwór technicznie fałszywym żalonym sentymentalizmem. Wiersz p. t. „Chrystus“ nie wytrzymuje żadnej krytyki. Jakże też Panu nie wstyd podejmować tak olbrzymie zadanie, tak ubożuchnymi środkami i nie czuć tej rażącej dysproporcji?!

Zofia K. Cz. Kraków: Prywatnej korespondencji w tych sprawach nie prowadzimy. Dziękujemy serdecznie za zaufanie. Ze wszystkich nadesłanych utworów najlepsze „Ja i ty“. Ale to przecież drobiazg. Nie rozumiemy zupełnie dlaczego pisze Pani wiersze. Z obserwacji, ze sposobu ujmowania zjawisk możnaby raczej wnosić, że ma Pani jakieś zdolności zjawiskowe. Radzilibyśmy iść w tym kierunku. Przestać układać wierszyki, — bo to są wierszyki, nic więcej, — i pomyśleć nad opisem, opowiadaniem nowelą.

Martin Eskin: Nie chodzi o to, kto pisze, — robociarz, profesor, biskup, adwokat, czy doktor. Byleby było dobrze napisane. Pańskie opowiadanie nie jest dobrze napisane. Chce Pan wyrazić myśl, że inteligenci powinni trzymać się razem w walce o byt z robotnikami. Jako miejsce wybrał Pan bardzo dobre miejsce i pracę znaną sobie dokładnie, mianowicie kopalnię nafty. No, i tu rozwija Pan myśl swoją za pomocą owych nieszczęsnych butów. Niestety, wszystko w pańskim opowiadaniu jest na drugim planie, na pierwszym zaś są owe buty z doczepionym do nich morałem. Gdy się pisze, trzeba ludzi widzieć a nie morał, doczepiony nagwałt do jakiegoś tam przedmiotu. Zamiast morałów niech Pan przypomni sobie jakiś epizod walki, czy jakieś wydarzenie z życia takiej kopalni i to właśnie niech Pan przedstawi czytelnikowi! Niech biorą w tem wydarzeniu udział ludzie i niech z sensu opowiadania z samego przeżycia tych ludzi wynika „morał“ — nie zaś z butów!

Eug. Żyt. Będziemy drukowali trzy drobne pańskie wierszyki. Nadesłane większe nie utrzymane są w formie, chyba raczej wymuszone. Nie trzeba pisać i zmuszać się do komponowania wiersza, który nie ma swego wewnętrznego kształtu. Żaden przymus tu nie pomoże. Przecież Pan sam doskonale wie o tem!

Zbur.. Paryż: Takie kpiny, żeby były dobre — musiałyby być genialne. Może zdobyłby się na to Verlaine. Verlaine jednak był wielkim poetą. Już chyba w drugiej strofice rozlałaby się jego żart i górę wzięłaby fala uroczego podziwu i natchnienia wobec wielkości Mistrza. Nie wstydże Panu pisać tak niedołążne żarty?!

Stan. B. Poznań: Nie zamieścimy sprawozdania, rzecz bowiem nie leży zupełnie na linii naszych upodobań, czy wierzzeń literackich. Nie odmawiamy Panu ani talentu, ani zdolności — jest to jednak sztuka, do której nie umiemy ustosunkować się.

J. B. W-wa: Nie, nie, niema na to żadnego sensu, lepiej niech Pan nie pisze.

Tan. Nask. Otóż wolimy Panu powiedzieć prawdę, — nadesłane wiersze noszą wybitne, niezawodne ślady grafomanji.

Ci dwaj bracia, to przecież papierowi ludzie. Wolelibyśmy w tej noweli dwóch żywych, rozumie Pan, — żywych dobrze zobaczonych lajdaków, niż papierowych świętych. To proste przecież i chyba Pan sam dobrze to rozumie?!

Jan Karcz: Byłoby to może jeszcze ciekawe w fejtynie i opowiedziane bezpośrednio. Tak jednak ujęte, jak Pan to czyni, traci wszelki wątek, wlecze się powoli i bardzo nieudolnie.

I. B. Śniatyń: Wydrukujemy, wolelibyśmy jednak na przyszłość tematy bardziej, czy bliżej dotyczące większej twórczości literackiej. Przekład znaleźliśmy, w tych dniach odesłamy.

Anonimowemu opiekunowi: Rzeczywiście świetna historia — ten cały bankiet emigrancki, zakończony tak fenomenalnym skandalem. Nie będziemy już robić z tego żadnego użytku. Nie warto tych spraw rozmazywać, bo ostatecznie kompromitują one i zdrowy sens i ów naród, o który Panu chodzi.

Wania W. Tarnowskie Góry: Ze też chce się Panu wypisywać takie nonsensy!

I. S. W-wa: Wiersze te nie posiadają żadnej wartości, ani literackiej, ani myślowej, ani wogóle żadnej. Wolimy powiedzieć otwarcie. Nie warto pisać.

Chwast: Powtarzamy na tem miejscu chyba już nie po raz pierwszy: Czy kto jest z gminu, czy książe, doktor, profesor, inżynier, czy aptekarz, czy dajmy na to general, — wszystko jedno, drogi Panie! Chodzi o to, aby przesłana rzecz była dobra. Względnie, jeżeli Pan woli, taka, jaką my za dobrą uważamy. Dziękujemy Panu z głębokim, istotnym wzruszeniem za tak wielkie zaufanie. Zechce nam Pan wierzyć, że w tej trudnej pracy korespondencyjnej i tak niewdzięcznej — a ogólnie, jaką spełniamy tu, zaufanie naszych korespondentów to jedna z najszlachetniejszych nagród, jaką mogliśmy sobie wymarzyć. Nie uważamy, żeby Pan miał powód do rozpacz. Czyż nie wie Pan o tem, że każdy pisarz, nawet najlepszy, najszlachetniejszy ma w swoich tekach całe stopy utworów — nieudanych? Czy czytał Pan „Kuszenie Świętego Antoniego“ G. Flaubert'a. Znakomity autor pracował nad tem dziełem całe lata. Napisał osiem wersyj tego „kuszenia“, poświęcił tej pracy olbrzymie studia a ostatecznie, okazało się i sam Flaubert czuł to dobrze, iż właśnie „Św. Antoni“ nie jest wcale najlepszą jego pracą. Niechże więc Pan nie rozpacza, że odrzuciliśmy jego nowelę. Brać się do pracy i pisać nową.

I. B. Śniatyń: Autor ten obchodził swe dziesięciolecie — o ile nas pamięć nie myli na początku tego roku. Opuścił Pan jego „Reise in Polen“, — rzecz bardzo dobrą, a dla naszych stosunków nader charakterystyczną. Wydrukujemy w lecie.

Emil Zaga: Owszem, może się to zdarzyć, że człowiek ni z tego ni z owego rzuca się z okna i ponosi śmierć. Nie może tego jednak w noweli tłumaczyć jedynie prawie i wyłącznie sam fakt, że bohater siedzi na krześle, że ziewa, że przy tej okazji wspomina swe życie dość szare, nudne, pozabawione jednak wszelkich mocniejszych wysiłków właśnie ze strony tegoż bohatera. Tacy ludzie najczęściej nietylko nie wyskakują oknem, lecz tkwią na swych posadkach i są zwykłymi zjadaczami chleba.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: TADEUSZ HIŻ.